

Włodzimierz Bączkowski nie uważał Rosji za państwo europejskie

ROSJOZNAWCA
PROMETEJSKI

Upadku Związku Sowieckiego nie świętował, a do demokracji w Rosji podchodził sceptycznie. Uważał, że zwycięży w niej chęć odrodzenia imperium w duchu czarnego nacjonalizmu. I nie pomylił się.

ROZMOWA Z
WOJCIECHEM KONOŃCZUKIEM*

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Jak rozumieć tezę Włodzimierza Bączkowskiego, wybitnego polskiego sowietologa, że źródłem siły i ekspansji moskiewskiej jest... poczucie jej słabości? To paradoks.

WOJCIECH KONOŃCZUK: Zdaniem Bączkowskiego Rosjanie nabrali przekonania, że nikt poza nimi samymi Rosji nie rozumie i świat będzie postrzegał ich kraj, tak jak oni będą chcieli. To przekonanie zrodziło się w XVI w., gdy Rosjanie zaczęli rozszerzać kontakty z Zachodem i zrozumieli, jak bardzo odstają od innych państw Europy. Doskonale wiedział to car Piotr Wielki, który niby to incognito pracował jako cieśla w holenderskich stoczniach. Był świadomy, jak bardzo zacofana jest Rosja. Zrozumiał, że aby mogła pójść do przodu, potrzebuje reform na modłę zachodnią. Rosjanie więc mieli poczucie wewnętrznej słabości, ale zarazem wiedzieli, że Zachód będzie ich postrzegał jako państwo silne, jeśli tylko taki obraz narzucą. Słabość ta była zatem starannie maskowana. Tak było za carów, tak było w epoce Związku Sowieckiego, a także za Władimira Putina. Jednym z ostatnich przykładów słabości Rosji, wychodzącej teraz na jaw, jest stan armii rosyjskiej, która nie może sobie poradzić na wojnie z Ukrainą.

Piotr I oraz jego następcy reformowali Rosję, ale odgórnie. W efekcie Petersburg czy Moskwa robiły wrażenie europejskich miast, stolic imperium, ale im dalej w las...

– Gdy w XVIII czy XIX w. do Petersburga przyjeżdżał Francuz, z każdym rosyjskim arystokratą mógł porozmawiać w swoim języku, nie wyczuwając akcentu. Oczywiście więc, że bywając na salonach, ulegał liczny­m złudzeniom. Nie wiadano, że carat to nie monarchia francuska czy brytyjska.

Jednak ten, kto miał zmysł obserwacji, szybko dochodził do wniosku, że Rosja jest radykalnie inna. Astolphe de Custine przyjechał do Rosji w 1839 r. z bagażem wiedzy, ale umiał też patrzeć, więc jego teksty różnią się od typowych relacji z epoki.

Rosja była wielkim państwem, do którego trudno było nawet wjechać. Trzeba było mieć specjalne pozwolenie. Szansą były kontakty handlowe. Zachód nie miał zatem wielu instrumentów, aby poznawać Rosję. Ta zaś na dobre poja-

wiła się w Europie podczas wojen napoleońskich, gdy rosyjscy żołnierze doszli aż do Paryża. Rosja jawiła się więc jako potężne państwo, które stało się jednym z głównych rozgrywających w polityce europejskiej i będzie tylko rosnąć. Taki wizerunek utrwalił się na dobre.

Bączkowski tymczasem poznał Rosję od drugiej strony, czyli na Dalekim Wschodzie. Czy to zdecydowało, że inaczej patrzył na to państwo?

– Azjatycka część Rosji była specyficzna, ponieważ Rosjanie nie byli tam warstwą dominującą. Bączkowski mieszkał z dala od większych miast, na peryferiach. Jego ojciec pracował na Kolei Zabajkalskiej – rodzina najpierw mieszkała pod Irkuckiem, gdzie na stacji kolejowej Bajkał w 1905 r. przyszedł na świat. W 1908 r. osiedli w miejscowości Ołowiannaja, 1300 km na wschód od Bajkału, a potem na stacji Borzia na pograniczu syberyjsko-chińsko-mongolskim. Włodzimierz dorastał m.in. wśród Buriatów, Chińczyków, Mandżurów, ale także Ukraińców, których setki tysięcy osiedlało się wówczas na Dalekim Wschodzie w poszukiwaniu lepszego życia.

To – po pierwsze – stało u podstaw jego przekonania, że Rosja jest państwem kolonialnym. Różnica między imperium brytyjskim a rosyjskim była tylko taka, że jedni do kolonii udawali się na okrętach, a drudzy – koleją. Dziś taka teza nie zaskakuje, ale wtedy nie była oczywista. Po drugie, właśnie obserwacje poczynione w Azji zdecydowały o jego postrzeganiu Rosji jako państwa nieeuropejskiego. Uważał, że to jest hybryda – mieszanka wpływów europejskich, ale dość specyficznych, bo bizantyjskich, oraz azjatyckich. Po trzecie, ogromna przestrzeń, która wpływa na charakter Rosji. Po czwarte wreszcie, Rosja jego młodości to państwo bardzo dalekie od etnicznego monolitu. Zanim w 1920 r. Bączkowscy przenieśli się do Mandżurii, uciekając przed bolszewikami, zdołał także poznać system sowiecki w działaniu.

Jednak przekonania Bączkowskiego wzięły się nie tylko z autopsji, która zawsze jest jedynie wycinkiem rzeczywistości, lecz także z późniejszych, już dogłębnych studiów. Bączkowski znał rosyjską literaturę oraz teksty fachowe, choćby dotyczące kultury strategicznej, czytał, co pisali o sobie Rosjanie, a potem bolszewicy.

Przyjechał z Mandżurii do Polski w 1925 r. Jak się odnalazł w ojczyźnie przodków?

– Musiał się jej nauczyć, i to wręcz dosłownie. Miał raptem 20 lat i już był całkiem ukształtowany. Także w Mandżurii obracał się w rosyjskim środowisku. Tam ukończył gimnazjum i w Warszawie, chcąc studiować, musiał udowodnić biegłą znajomość polskiego.

Trochę przypominał pewnie Cezarego Barykę z „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego. Jego wyobrażenie o Polsce musiało być wyidealizowane. Pochodził z patriotycznej rodziny, która w domu trzymała dwa portrety: Romana Dmowskiego i... Józefa Piłsudskiego. Po przyjeździe musiał skonfrontować te wyobrażenia z rzeczywistością.

I wybrał Piłsudskiego.

– Bo był bardziej liberałem. Wychował się w środowisku wieloetnicznym i wielokulturowym. Dla niego różnorodność była naturalna, tak jak dla Piłsudskiego, który także wychował się na styku kultur.

Bączkowski poświęcił się pracy dla państwa z nadzieją, że będzie mógł wpływać na politykę II RP. Jeszcze na studiach trafił do środowiska naczelnika Wydziału Wschodniego MSZ Tadeusza Hołówki, polityka i zaufanego Piłsudskiego, który szukał porozumienia z Ukraińcami. To popchnęło go w kierunku prometeizmu, który był mu bliski ze względu na przywiezione z Dalekiego Wschodu przekonanie o tym, że kwestia narodowościowa jest największą słabością rosyjskiego imperium.

Skąd brał materiał do swych badań?

– W czasach II RP miał wypracowany schemat dostaw prasy sowieckiej do Instytutu Wschodniego, z którym współpracował od 1930 r. Odpowiadały za to polskie placówki. Starsza literatura była dostępna w warszawskich bibliotekach. Warszawa w końcu jeszcze niedawno była miastem imperium. Księgozbiory te spłonęły w większości w 1944 r.

Dostęp to oczywiście jedna sprawa, ale drugą bardzo ważną była umiejętność czytania cenzurowanej i zakłamaney prasy sowieckiej między wersami. To była duża sztuka. Z całej tej propagandowej papki trzeba było wydzielić ziarna prawdy. Należało więc z kontekstu, nawet z kolejności podanych informacji czy wymienianych postaci, fotografii, wywnioskować, co dzieje się w Sowietach. Brak informacji o czymś też był informacją.

Zabójstwo Hołówki w 1931 r. nie zmieniło jego poglądów?

– Było szokiem, ale oddzielał wyraźnie morderców, czyli ukraińskich nacjonalistów, od sprawy ukraińskiej. Tak samo przecież sprawę polską łączył z Piłsudskim, a nie z Dmowskim. A nacjonalistów ukraińskich krytykował tak jak endeków. Ci zaś wielokrotnie zarzucali mu ukrainofilizm, co nie miało nic wspólnego z jego przekonaniami ideowymi.

Zarazem próbował wpływać na narodową prawicę.



• **Włodzimierz Bączkowski (1905-2000) w latach 30. XX w. i tuż po II wojnie światowej** FOT. ZBIORY WOJCIECHA KONOŃCZUKA

– Przez utworzony w 1936 r. dwutygodnik „Myśl Polska” próbował flirtować z endecką częścią opinii publicznej. Artykuły publikowane tam były pisane innym językiem niż w pismach „Wschód-Orient” czy „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, na których czele stał. „Myśl Polska” przekonywała, że piętą achillesową Polski jest polityka wobec mniejszości, a endecy myślą interes narodu z interesem państwa.

Podobał mu się wołyński eksperyment Henryka Józewskiego, który próbował Ukraińców integrować?

– Był w kręgu Józewskiego. Często bywał na Wołyniu, bo jego rodzina właśnie tam się osiedliła. Popierał starania wojewody wołyńskiego głównie przez zbijanie endeckich argumentów.

Co znaczyło jego credo z 1935 r.: „nie jesteśmy ukrainofilami”?

– Zwolennikom szukania porozumienia z Ukraińcami zarzucano romantyczną wizję tego narodu i patrzeć na rzeczywistość przez różowe okulary. Endecy zarzucali prometeistom naiwną sympatię dla Ukraińców. Bączkowski przekonywał, że to żadne pięknoduchostwo, ale bardzo realistyczna kalkulacja. Porozumienie z Ukraińcami miało według niego potęgować siły Polski. Wymarzona Ukraina ze stolicą w Kijowie byłaby pożądanym sojusznikiem Rzeczypospolitej.

Nie bał się, że Ukraina ze stolicą w Kijowie będzie zawsze patrzeć łapczywie na Lwów?

– Tu był zbytnim optymistą, bo faktycznie uważał za możliwą akceptację przez niezależną Ukrainę Naddnieprzańską granicy na Zbruczu. Zbytnim optymizmem też trąciła myśl, że z mieszkańców Polski pochodzenia ukraińskiego da się uczynić lojalnych obywateli.

Dziś łatwo takie spojrzenie krytykować po 80 latach i po walkach polsko-ukraińskich w czasie II wojny światowej.

Bączkowski sądził, że oba państwa, czyli II RP i nowa Ukraina, będą miały wspólnego wroga w postaci Rosji, a zatem kwestia Lwowa zejdzie na dalszy plan. Był również pewien, że wojna z Rosją wybuchnie, i prometeizm postrzegał jako tworzenie warunków do zwycięstwa. Przez całe lata 30. w swoich tekstach przekonywał, że Polska, by mieć jakiegokolwiek szanse przeciw Rosji,

musi uregulować sprawy mniejszości narodowych, z których kwestia ukraińska była najważniejsza.

Po umowie ze Związkiem Sowieckim zawartej w 1932 r. prometeizm został zarzucony?

– Tak, choć nigdy nie stał się oficjalną polityką II RP, ale był swoistym projektem rezerwowym. Projekty medialne – jak byśmy dziś powiedzieli – Bączkowskiego były przeciw finansowane przez wywiad. W Oddziale II, a także w MSZ było sporo osób, które myślały podobnie jak Bączkowski. Państwo więc wspierało pisma, które wydawał, on zaś dbał o ich autonomię.

Jaki był realny wpływ jego – jak sam mawiał – „minikoncertu medialnego”?

– Ograniczony do części inteligencji polskiej i ukraińskiej, ale zarazem w latach 30. XX w. te pisma były jedną z niewielu płaszczyzn do dyskusji na tematy polsko-ukraińskie.

Po 1 września 1939 r. Bączkowski, m.in. przez Rumunię, Wielką Brytanię, dotarł na Bliski Wschód. Tam zetknął się z armią Andersa, ale po wojnie jeszcze długo pozostał w Lewancie. Dlaczego?

– Najpierw pracował dla emigracyjnego rządu polskiego, potem był współzałożycielem Instytutu Wschodniego „Reduta”, wydawał pismo „Sprawy Bliskiego i Środkowego Wschodu”. W Jerozolimie napisał swój najważniejszy tekst, czyli książkę „Rosja wczoraj i dziś. Studium historyczno-polityczne”. Nawet na Bliskim Wschodzie miał dostęp do rosyjskich tekstów, choć trudno powiedzieć, jak do nich docierał. Być może polska placówka w Kujbyszewie przez jakiś czas mu je dostarczała, zanim ją zamknięto. Gdy rozgorzała wojna żydowsko-arabska, przeniósł się do Libanu, by wreszcie w 1955 r. wyjechać do USA.

Bejrut mu się podobał. Dlaczego go opuścił?

– W porównaniu z ówczesną Jerozolimą Bejrut był miastem tętniącym życiem. Mimo wszystko była to jednak prowincja, którą szybko się zmęczył. Ponadto po wojnie społeczność polska zaczęła się wykruszać, kolejne ważne postaci opuszczały Bliski Wschód. Rząd emigracyjny zwijał swoje agendy, część przenosił do Londynu. Kurczyły się też możliwości zarobkowania. Na początku lat 50. utrzymywał się z tu-

maczeń z rosyjskiego na angielski. Jego żona Halina pracowała na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, a on sam tam sporadycznie gościnnie wykładał. Właśnie wtedy zainteresowali się nim Amerykanie. W 1947 r. wydał po angielsku „Towards an Understanding of Russia”, zmodyfikowaną „Rosję wczoraj i dziś”, która w USA zapewniła mu rozpoznawalność.

Pozyskali go?

– Mimo starań CIA ciągle nie udostępniła mi teczek Bączkowskiego. Dostałem oficjalną odpowiedź, że zgłoszenie, owszem, przyjęto, ale od ponad dwóch lat pojawia się odpowiedź, że sprawa jest w toku.

Bączkowski od końca lat 40. czynił starania, by przenieść się do Stanów. Uważał, że tylko to państwo jest w stanie skutecznie stawić czoło imperium sowieckiemu. Ani Wielka Brytania, gdzie był rząd na emigracji, ani Francja, gdzie Jerzy Giedroyc tworzył Instytut Literacki i „Kulturę”, według Bączkowskiego w tej rozgrywce nie miały takiego znaczenia. Giedroyc zresztą chciał go z Bejrutu ściągnąć do Europy i uczynić swoim korespondentem w Berlinie. Jan Nowak-Jeziorański proponował mu pracę w Radiu Wolna Europa w Monachium. Ale Bączkowski odmawiał, widząc dla siebie inną misję.

Co robił po przyjeździe do USA w 1955 r.?

– Pracował najpierw w biurze tłumaczeń druków sowieckich, o którym nic właściwie nie wiadomo. W 1959 r. zaczął pracę w Bibliotece Kongresu, nie jako bibliotekarz oczywiście, tylko jako analityk. W Bibliotece Kongresu istniał wielki, liczący niemal 200 osób, dział analityczny o dość mylącej nazwie Air Information Division. Zajmował się bowiem nie lotnictwem, lecz studiowaniem dla amerykańskiego rządu sytuacji w Związku Sowieckim. Tu Bączkowskiemu przydała się umiejętność czytania między wersami, której nie mieli ludzie Zachodu. Zresztą rola Polaków w pracach analitycznych i wywiadowczych na Zachodzie w pierwszych latach zimnej wojny była niebagatelna. Co najmniej kilku przedwojennych polskich dyplomatów, ale nie tylko oni, zostało współpracownikami wywiadów amerykańskiego, brytyjskiego i francuskiego. Także w Bibliotece Kongresu USA pracowało kilku Polaków i bynajmniej nie zajmowali się odnoszeniem książek na półki.

Bączkowski nie pisywał wtedy w „Kulturze”?

– Do wyjazdu do USA opublikował tam kilkanaście ważnych artykułów. Korespondował z Giedroyciem, gdy był na Bliskim Wschodzie, potem korespondencja się urywa, najwyraźniej relacje się nieco ochłodziły. A trzeba dodać, że Giedroyc niezwykle Bączkowskiego cenił i miał wobec niego poważne plany. Liczył, że stanie się on najważniejszym politycznym piórem „Kultury”, jeśli idzie o sprawy Europy Wschodniej. Choć Bączkowski Giedroycia znał dobrze od lat 30., to po 1955 r. nie da się już Bączkowskiego wpisać w krąg „Kultury”. Był samodzielnym bytem.

Przewidywał zbliżenie Rosji z Chinami zamiast z Europą. To wówczas nie był częsty pogląd.

– To jedna z tez Bączkowskiego, o której prawdziwości przekonujemy się teraz. Wiedział, że Rosja ma strukturalny problem, aby porozumieć się z Zachodem, i znacznie łatwiej jest jej się dogadać z Chinami. Uważał, że decydował o tym charakter sowieckiej władzy. Podtrzymywał swoje zdanie nawet w okresie ostrych tarć chińsko-sowieckich w latach 60.

Chyba jednak nie przewidział, że to Chiny będą w tych relacjach stroną silniejszą?

– Tym byliby pewnie zaskoczony. Dziś to Pekin narzuca agendę, a Rosja jest słabszym partnerem. W czasach carskich i sowieckich było inaczej.

Wiedział, że Rosja jest zacofana, ale w konfrontacji z Zachodem to jej przypisywał więcej atutów. Może nie doceniał zachodniej demokracji?

– Zachód, jako bardziej transparentny, był dla Sowietów łatwiejszy do rozpoznania. Ponadto Związek Sowiecki był po wojnie na fali wznoszącej. Od czasu agresji Hitlera w 1941 r. był postrzegany jako sojusznik Zachodu, i to wiarygodny.

Zachód widział Rosję nie taką, jaka jest, ale taką, jaką by chciał, żeby była. Polacy na emigracji, w tym Bączkowski, próbowali się przebić z przekazem, że zachodnioeuropejscy intelektualiści nie mają pojęcia, czym jest Rosja. Ale było to mało skuteczne.

Maria Czapska wspominała, że zaraz po wojnie nikt nie wierzył Polakom, gdy mówili choćby o łagrach. Dotarcie do świadomości Zachodu i wytłumaczenie tamtejszym elitom, że nierealne jest porozumienie z państwem, w którym nie tylko nie ma żadnej demokracji, lecz także morduje się masowo ludzi, było zadaniem niezmiernie ambitnym. Bączkowski zdawał sobie z tego sprawę i próbował pokazać Zachodowi, że jego wyobrażenia mają się nijak do rzeczywistości.

Co można było zrobić?

– Pomyśl był tyleż banalny, co klasyczny i sprawdzony. Należało zdobyć wpływ na opinię publiczną przez wydawanie książek, tłumaczenia ich na zachodnie języki, nieformalne spotkania, pracę akademicką. Ważny okazał się głos Czesława Miłosza, który szybko zdobył uznanie na Zachodzie.

Czy jednak dla Zachodu wrogiem nie byli przede wszystkim komuniści, a nie sama Rosja?

– Gdy na Zachodzie powstawała sowietologia, ton jej nadawały dwa kręgi – zasiedziali już od ponad ćwierć wieku i mający liczne koneksje z czasów belle époque „biali” Rosjanie i świeży emigranci z państw Europy Środkowej, często bez żadnych kontaktów. Łatwo zgadnąć, kto miał większe przełożenie. Polacy próbowali nawiązać współpracę z rosyjską emigracją, ale szło to opornie. Łatwiej było z Ukraińcami. Główny problem polegał na tym, że nawet najbardziej antykomunistyczni Rosjanie odmawiali podmiotowości Ukrainie.





Jak Bączkowski był odbierany w Ameryce?

– Gdy wreszcie stało się jasne, że konfrontacja Wschód – Zachód jest nieunikniona i następuje epoka zimnej wojny, w jego głos się wsłuchiowano. Książka „Towards an Understanding of Russia” weszła w obieg, była czytana w ważnych miejscach, także na amerykańskich uczelniach wojskowych. Ambicje Bączkowskiego szły jednak dalej. Pracował nad podręcznikiem na temat strategii rosyjskiej, ale go nie ukończył.

Czy miał nadzieję, że wróci kiedyś do Polski, w której przecież spędził tylko 14 lat?

– Wyzbył się złudzeń, gdy zrozumiał, że Polska znajdzie się w strefie sowieckich wpływów. Już w 1943 r. był pewien, że nie ma powrotu nad Wisłę. Należał do najbardziej znanych prometeistów, a oni byli ważnym celem dla NKWD, potem zaś dla polskiej bezpieki. Na pewno miałby kłopoty.

Do Polski przyjechał z pierwszą wizytą dopiero w 1990 r. Rozważał nawet przeniesienie się, ale ostatecznie pozostał na emigracji. Wybrał coś pośredniego między postawą Giedroycia, który nigdy do Polski już nie przyjechał, a Jana Nowaka-Jezio-

rańskiego czy Czesława Miłosza, którzy starość spędzili w ojczyźnie.

Jak patrzył na III RP?

– Niewiele o tym wiemy. Ale z pewnością miał swój ideowy udział w położeniu fundamentów polskiej polityki wschodniej po 1989 r. Przecież była budowana właśnie na podstawie myśli, którą lansował w II RP i którą po wojnie propagowała „Kultura”. Mógł mieć satysfakcję.

Tymczasem Giedroyc jest powszechnie znany, a Bączkowski nie.

– Zmarł 19 sierpnia 2000 r., na miesiąc przed Giedroyciem, i nikt tej śmierci nie zauważył. Gdy bywał w Polsce, nie przeprowadzano z nim wywiadów, nie zapraszano go na konferencje. Był anonimowy. W 1991 r. odwiedził Ośrodek Studiów Wschodnich, ale nawet tu jego nazwisko niewiele mówiło pracownikom. W 1994 r. otrzymał w Ambasadzie RP w Waszyngtonie Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski i to było właściwie wszystko.

Niedawno wyszły trzy tomy pism Bączkowskiego w pańskim opracowaniu i z pana wstępami.

– Trzeba wspomnieć, że w 1997 r. wydane przez OSW pismo „Eurazja” przypomniało Bączkowskiego piórem Janusza Ciska i Jerzego Giedroycia, a trzy lata później Jacek Kłoczowski i Paweł Kowal wydali zbiór kilkunastu jego tekstów.

Bączkowski czekał na badaczy, jego prace były rozproszone. Na pewno wciąż zasługuje na lepsze poznanie i rozpragowanie. Uważam, że był jednym z najciekawszych polskich myślicieli politycznych XX w.

Po upadku Związku Sowieckiego nie świętował jak inni. Pozostał sceptykiem co do szans demokracji w Rosji.

– Był zdania, że w Rosji zwycięży chęć odrodzenia imperium w duchu czarnego nacjonalizmu. Tak pisał do Giedroycia w 1992 r. I nie pomylił się.

Zarzucał Zachodowi brak zdecydowania w stosunku do Rosji. Czy wsparcie dla Kijowa, a zwłaszcza postawa Joego Bidena, byłoby dlań zaskoczeniem?

– Jego pisarstwo jest zaskakująco aktualne, choć oczywiście nie w całości. Główne tezy jednak się bronią. Aktualne pozostały

diagnoza Rosji oraz przekonanie o wadze stosunków polsko-ukraińskich. To prawda, że krytykował Zachód za kunktatorstwo. Czy niesłusznie? Do niedawna domino wało tam przekonanie, że Moskwę trzeba obłaskawiać, bo konfrontacja z nią może wywołać destabilizację Rosji, co wygeneruje jeszcze większe problemy.

Jeśli teraz Ameryka i Europa, wspierając Ukrainę, pomogą jej obronić niepodległość, będzie można powiedzieć, że Bączkowski nie doceniał Zachodu. Myślę jednak, że w takim przypadku chętnie przyznałby się do pomyłki. ●

Rozmawiał **Andrzej Brzeziecki**

*** Wojciech Konończuk** – politolog i dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, w którym wiele lat kierował Zespołem Białorusi, Ukrainy i Mołdawii. Autor m.in. książek „Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940-1941” (Warszawa 2019) i „Zagrożone dziedzictwo. Polskie dobra kultury na Ukrainie i Białorusi” (Warszawa 2020). W jego opracowaniu ukazał się trzypięciotomowy zbiór pism Włodzimierza Bączkowskiego.